ROZMAITOŚCI.

Dnia 10. Grudnia **Nr 50.** **Roku 1842.**

Wspomnienia wojskowe.

IX.

Berezyna, która dotąd nie jednéj rodzinie smutne przedstawia wspomnienia, któréj nadbrzeżne mogiły późnym wiekom wskazywać będą miejsce krwawéj przeprawy wielkiego wojownika, naprowadza myśl moję do opisania zdarzenia, które w owym czasie z tą nieszczęsną przygodą wielką miało styczność.

W roku 1812 kiedy Cesarz Francuzów opuszczał ze swoją armiją stolicę Litwy idąc za uchodzącém wojskiem rossyjskiém ku Witepsku, w tym samym czasie jenerał jazdy Colbert, dostał rozkaz maszerowania z pułkiem ułanów gwardyi holenderskiéj przez Oszmianę, Smorgonię, Tołoszyn do Orszy, tak dla powzięcia wiadomości o ruchach armii rossyjskiéj, jako téż dla utrzymania związku między główną armiją i korpusem marszałka Davousta idącym na prawém skrzydle do Mohilewa.

Ponieważ ta brygada kawaleryi złożona z cudzoziemców, maszerowała odrębnie, z tego powodu dla znajomości języka i kraju, byłem przykomenderowany do niéj z moim szwadronem polskich ułanów gwardyi.

Idąc w przedniéj straży, przyszedłem do wsi Ziemlina, tam mnie polecił jenerał Colbert rozpoznanie miejsca, gdzieby można przejść rzékę w pobliżu téj wsi płynącą. Wypełniłem to polecenie za pomocą włościan przechodząc wpław Berezynę z moim szwadronem pod wsią Studzianki, za mną przeszła cała brygada, z kąd maszerując ku Orszy, połączyliśmy się z główną armiją nad Dnieprem.

W nieszczęśliwym odwrocie z Moskwy ze zbiegu okoliczności i poruszeń wojskowych, wypadło Cesarzowi cofać się z całą armiją tą samą drogą, którąśmy z jenerałem Colbertem w letniéj porze przebyli; przyszedłszy do Tołoszyna, stanęliśmy na noc pod miastem; tam się rozeszła wieść w obozie, że korpus rossyjski powracający z Tureczyzny zastąpił nam drogę; wiadomość ta wszakże nie zrobiła wielkiego wrażenia na umyśle żołnierzy, bo wiedzieli, że Cesarz niémi dowodzi, a znalazłszy trochę żywności i drzewa, nie troszcząc się przyszłością—zapomnieli o trudach i niewywczasach, zasypiając spokojnie przy ogniach obozowych.

Kiedy po wieczerzy żołniérskiéj z kolegami używam spoczynku, budzi mnie wachmistrz, mówiąc: »że oficer ordynansowy przyjechał z poleceniem Cesarza, ażebym zaraz udał się do Niego.«

Rozkaz ten tak późno w noc odebrany, mocno mnie zadziwił, tém bardziéj, gdy kapitan sztabowy nie umiał go wytłómaczyć.

Wsiadam na mego wiernego rumaka i wziąwszy za sobą żołniérza, jadę do miasta; wkrótce stanąłem przed klasztorem, byłato kwatéra cesarska; tam zsiadłszy z konia, mijam warty grenadyjerów, a wszedłszy do sieni, oficerowie sztabowi wskazują mi wejście do kwatéry cesarskiéj.

Byłto klasztorny refektarz, w środku ujrzałem długi stół okryty mapami, na tym kilka świc jarzących. Cesarz ubrany w mundurze strzelców konnych, wpatrując się w mapę, rozmawiał z jenerałem Colbertem; przy drzwiach stał ksiądz w białym habicie.

Jak tylko wszedłem, zbliżył się Cesarz do mnie, zapytując: »Czy przechodziłeś wpław Berezynę?«—»Tak jest Cesarzu«, odrzekłem

i w téj chwili domyśliłem się, dla czego byłem wezwany. Pytał się potém w szczegółach o tę przeprawę, na co gdy Mu odpowiedziałem, powtarzał kilka razy odwracając się do jenerała Colberta te słowa: »Tak, tak, to jest to samo«, a skoro Mu wytłumaczyłem odpowiedzi księdza zgadzające się z moim opisem, nastała chwila milczenia, w któréj Cesarz w głębokiém zamyśleniu przechodził się kilka razy po téj pustéj i ponuréj kwatérze, gdzie tylko na ścianach szczerniałe świętych obrazy zdawały się na Niego smutnémi spoglądać oczyma. Zwróciwszy się potém do mnie, rzekł łagodnie: »Zaprowadź tego księdza do mojéj kasy, niechaj mu dadzą 100 rubli, a sam idź się wywczasuj.«

Kiedy w parę dni po tém zdarzeniu stanęliśmy nad brzegami Berezyny pod wsią Studzianki, gdzie huk dział i ręcznéj broni zwiastował początek téj twardéj przygody, kiedy szczupłe hufce wytrwałych rycerzy z wawrzynem zwycięztwa walczyły już tylko w swéj własnéj obronie, wspomniałem na rozmowę z Cesarzem w murach klasztoru i na niestałéj fortuny zwodnicze igrzyska.

Umilkły gromy — ubiegły wody zfarbowane krwią tysiącznych ofiar — a jeźli kiedy przechodzień wstrzyma swe kroki w tém miejscu samotném, cóż jego umysł zajmuje? — Porosłe darnią grobowce poległych rycerzy! *S. H.....*

KARY KOŃ.

Scena odbywa się na dworze Maryi Medycejskiéj. Panowie Crequi i Guise, dwaj młodzi, piękni mężczyźni, żywi, weseli, wieczerzali razem po ukończonéj grze. Wino rozbudziło bardzo fantazyję pana de Guise i zaostrzyło pamięć; przypomniał sobie jakiś dowcip pana de Rohan, którym, jako przymówką, obrażonym się być mniemał. Natychmiast żąda wyjaśnienia, pan Crequi nie chce mu towarzyszyć; Guise upiéra się przy swoim zamyśle i postanawia sam w nocy, natychmiast udać się do pana Rohan.

Przypiął szpadę, nasunął kapelusz, i zbiégł na podwórzec hotelu, dokąd Creqni nie omieszkał za nim pospieszyć. Dészcz padał drobny, lecz ostry, powietrze było zimne, a noc ciemna. Lecz Chevalier obstawał z zaciętym uporem przy swoim zamyśle tak, że Crequi widząc, iż go powstrzymać nie zdoła, zarzucił mu płaszcz na ramiona, i kazał wyprowadzić wiérzchowca.

»Daję ci walnego konia Chevalier, nie nadużywaj go, i owszém wołaj po imieniu, ażeby ci był po twojéj woli. Nazywa się Capricieuse. Puść mu lekko wodze, i nie męcz go, ani napędzaj; jestto wnuk owéj słynnéj karéj klaczy, która była ze stada mego teścia Connetabla.«

»Nie obawiaj się! Albożto ja dzieckiem jestem. Odeszlę ci go z uderzeniem ósméj godziny.«

»Jedź ostrożnie, bruk ślizki, a już późno w noc. Zapnij płaszcz na sobie, abyś go nie zgubił. Twoje pióra na dészczu pójdą w niwec; weź mój kapelusz, zwrócę go twojemu masztalerzowi, który odprowadzi konia. Brama otwarta; dobra noc Chevalier; lepiéj jedź prosto do domu i udaj się do łóżka! Dobréj nocy!«

Pan de Guise spiął ostrogami gładkiego konia, który jak strzała puścił się wązką ulicą St. Roche, i zniknął.

Zimno było przyczyną, iż jeźdzcowi wino jeszcze silniéj udérzyło do głowy i rozmarzyło go zupełnie. Wokoło niego zaczęło się wszystko kręcić, a mgła i ciemność sprawiły, że ledwie mógł domy rozpoznać; puścił więc z rąk wodze, oddał się koniowi, aby go zaniósł do celu jego życzeń, a sam zajmował się myślą, która go mocno gniewała.

»O mości Rohan«, mówił do siebie pan Guise, »czy myślisz, iż ja ci taką przymówkę płazem puszczę? Ty śmiész mnie obrażać, syna owego bohatéra, który królowi wojnę wypowiedział. O, do stu katów, dam ja ci dobrą nauczkę!«

A zwracając uwagę na karą klacz zawołał:

»Dokąd mnie niesiesz Capricieuse? My mamy się udać do hotelu pana Rohan; o, biegnijże szybko moja śliczna; nam potrzeba się spieszyć!«

Klacz biegła tak pewnym krokiem, jak gdyby był dzień jasny; bez wahania zwracała się przez zakręty różnych ulic, spieszyła, jak się zwykle koń spieszy, gdy w znane, ulubione powraca miejsce, gdzie go czeka ogłaskanie i żłób ze złotém ziarnem.

»O jakże się cieszę«, mówił de Guise, »iż z tym Rohanem będę miał rozprawę. Trzy pchnięcia dam mu w powitanie—jedno w pierś tak, drugie przez degazowanie tak....«

I zapomniał, że siedzi na koniu; wymachiwał rękoma jak opętany. Tymczasem koń wbiégł pod ciemne sklepienie a Chevalier poznał, iż to jest jedna z bram miejskich.

»Hola! Capricieuse! stój! gdzie mnie ten przeklęty koń niesie?«

To mówiąc, chciał się zatrzymać i spytać straż bramy o drogę, lecz klacz nie dała mu czasu

i puściła się przez pole galopem co jéj sił stało. Chevalier słyszał, jak za nim zamknieto bramę, i jak oficer z wielkim hałasem kazał rozstawić u bramy ogromne psy na łańcuchu.

»Na Boga«, zawołał de Guise, »ciekawym dokąd mnie ta opętanica zaniesie? Jeźli przed oblicze czarta, to się cieszyć będę; mam oddawna wielką ochotę z nim się zapoznać.«

Zdawszy się na wolą konia, wrócił do dawnych drażliwych myśli i powtarzał aż do znudzenia:

»Czy myślicie sobie, iż mnie można bezkarnie urazić? to prawo na mojéj stronie; co mnie wolno, to wam.... Twojéj przymówki mości Rohan niech mi nikt nie powtarza, bo go to samo, co i ciebie czeka!« To rzekłszy, zaczął znowu pojedynkować się z powietrzem, a klacz tymczasem biegła chyżo i zwracała w rozmaite uboczne drogi, które, jak się zdawało, bardzo dobrze znała; aż nareszcie stanęła przed domkiem, którego gustownéj, czystéj powiérzchowności pan de Guise w ciemności dostrzédz nie mógł.

»U diabła! Cóżto się znaczy?« — zawołał, wytrzéźwiwszy się w przegonie; »koń tu sam się zatrzymał, grzebie kopytem? więc dla tego biégł tak chyżo, aby mnie zanieść do tego domku? Osobliwsza przygoda! Zapewne tu Crequi często jeździ! Taką rzeczą nie musi tu być miejsce niebezpieczne, bo bardzo wątpię, aby tu fałszywe bił pieniądze. Ale co do prawdy podobniejsze, zapewne tu jaką przechowywa kochankę! Awanturka nie do odrzucenia; muszę z niéj korzystać.«

Klacz zniecierpliwiona grzebała kopytami piasek, a Chevalier tymczasem szukał u fórty dzwónka. Znalazł go nareszcie, i pociągnął z-lekka. Światełko przebiegło jedno okno po drugiém, a stary sługa otworzył fórtę, mówiąc: »Już nie spodziéwaliśmy się pana hrabiego, pan hrabia nié ma zwyczaju, przybywać po północy. Pani już w łóżku.«

De Guise skoczył z konia, i mocno był zmiészany, nie wiedząc, co czynić.

Nie śmiał słowa przemówić, z obawy, aby się nie zdradził? Zacisnął kapelusz na oczy, zawinął się jeszcze lepiéj w płaszcz Crequiego, lecz nie wiedział, którą się udać drogą, ani gdzie szukać wschodów. Szczęściem wybiegła naprzeciw niego jakaś pokojowa, i wprowadziła go z świécą w ręku aż do pokojów nieznajoméj damy.

»Czy zbudzić Tomasza?« zapytała.

»Nie.«

»Może pan hrabia czego potrzebuje?«

»Nie.«

»Może pan hrabia płaszcz z siebie zdejmie?«

»Nie — odejdź.«

Pan de Guise wszedł do sypialni i trochę nie grzecznie zatrzasnął drzwi przed pokojową.

»A to bardzo pięknie, tak późno przejéżdzać«, ozwał się głos pieszczony. »Jakiemuż to szczęściu mam przypisać? Wszak wieczór dzisiejszy miałeś przepędzić u dworu albo przy grze?«

Zamiast odpowiedzi, de Guise pochwycił czémprędzéj za świécę i dzwónek, które obok łóżka na stoliku stały i zaniósł je w kominek. Dama tym postępkiem zdziwiona wyjrzała z pod kołdry, i natychmiast poznała, iż to nie pan Crequi! Zakryła twarz tak spieszno rękoma, że tenże nie miał czasu jéj się przypatrzéć.

»Przez Boga!« zawołała okropnie przelękniona — »kto tu?«

»Nie lękaj się pani, nie widzisz rabusia, ale Chevalier de Guise.«

»O nieba! jestem zdradzona! zgubiona! Na pomoc! Nie waż się pan przybliżyć do mnie!«

»Rozważ pani, co czynisz« — odpowiedział zimnym głosem de Guise i usiadłszy, dodał obojętnie — »jeźli zwołasz twych ludzi, jutro dowié się cały Paryż o téj awanturze. Alboż mnie pani nie poznajesz? Jestem, jak mówię — de Guise, rozkaż abym ci opowiedział, jakiém dziwném zrządzeniem okoliczności przychodzę tu zamiast hrabiego Crequi.«

Dama zasłoniła sobie twarz kołdrą.

»O, niech się pani nie obawia; ja nie będę się jéj przypatrywał jeźli sobie tego nie życzysz. Uspokój się, proszę o to; obaczysz, iż masz do czynienia z człowiekiem honoru.«

Pan de Guise opowiedział całą nocnę przygodę.

»Tylko ciekawość«, dodał, »zaprowadziła mnie aż do tego przebytku. Oddalę się z tąd, skoro pani sobie tego życzyć będziesz, jednakże spodziéwam się, że będziesz tyle chrześcijańską, iż mi pozwolisz zabawić tu aż do rana, bo niech mnie kaci porwą, jeźli wiém, w któréj części świata jestem, a do powrotu noc tak jest ciemna, a droga tak ślizka, a w dodatek nieprzyjemności jeszcze dészcz leje.«

»Cóż robić, niechże więc i tak będzie, lecz jutro pan odjedziesz i opowiész hrabiemu Crequi wszystko, co ci się wydarzyło. Ale niestety, cóż mi to pomoże! Pan jutro postrzeżesz, gdzieś noc przepędził, w pamięci zatrzymasz mój dom; dopytasz się o moje imię, i całą przygodę rozgłosisz po Paryżu. Ach! cóż się ze mną stanie, mój Boże, mój Boże!«

»Kiedy tak, więc przyrzekam pani, iż odjadę z tąd na tym samym piekielnym koniu, nie przypatrzywszy się bynajmniéj ani jéj domowi, ani okolicy, w któréj położony.«

*

»A więc przysiąż mi pan, iż nigdy nie będziesz czynił zabiegów dowiedzieć się kto jestem.«

»Przysięgam na wszystko, co zechcesz, tylko się pani tak nie dręcz.«

»Otwórz pan tę szafę, i podaj mi maskę, która tam znajdziesz.«

Ociągając się chwilę, wreszcie usłuchał. Założył maskę na koniec szpady, i tak z daleka podał ją damie. Miał dość czasu, aby dojrzéć cudnych, jakby wytoczonych ramion, dużych wyrazistych oczu i profilu, rzadkiéj piękności; żal mu było, iż tak spanialomyślnym się okazał.

»Jeźli mi pani zaufa, to nie potrzeba będzie budzić ludzi, spokojnie możesz spać w łóżku, a ja w tém oto poręczowém krześle będę oczekiwał zabłysku jutrzenki. Przysięgam na cienie ojca mojego, wielkiego Henryka de Lorrain, iż ta przygoda wieczną tajemnicą zostanie; pani mi zaufa, jak się spodziéwam.«

»Muszę się spuścić na twój honor panie de Guise, gdyż ten jest teraz jedyną moją obroną.«

»Jestem dumny tém zaufaniem, i życzę sobie, abyś mnie pani lepiéj poznała.—Teraz, gdyśmy pokój zawarli—możemy rozmową czas spędzić, gdyż pani się obawiasz usnąć, że ja tak blizko jestem. Połowa nocy już i tak upłynęła, druga połowa bardzo prędko zbiegnie, gdy pani niektóre przygody moje opowiadać będę.«

Pan de Guise był pięknym i od kobiét lubionym mężczyzną, miał szczególniejszy dar opowiadania rozmaitych przygód, wiedział dobrze, jak damy rozweselić i ciekawość ich zająć. Nie minęło godziny a oboje śmiali się na cały głos serdecznie. Już szary brzask jutrzenki rozwidniał okna; nieznajoma wyskoczyła z łóżka, wyszła z pokoju zamykając starannie podwójną zasuwką drzwi za sobą. Pan de Guise słyszał głosy na dziedzińcu, słyszał, jak zaprzęgano konie. Nieznajoma wróciła do pokoju, lecz była jeszcze zamaskowana.

»Odwiezą pana w karécie«, mówiła, »powiész pan hrabiemu Crequi, iż spadłeś z konia, błąkając się piérwéj przez noc całą. Miałeś w głowie a to uczyni tę przygodę do prawdy podobną. Ufam twemu honorowi i twym przysięgom. *Adieu,* panie de Guise; konie gotowe.«

Szybko otworzyła drzwi, a gdy Guise z ociąganiem się wychodząc, raz jeszcze ku niéj zwrócił tęsknące oczy—»Ach—ja nie zakazuję panu całkiem o mnie zapomnieć, wolno panu czasem pomyśléć o mnie.«

»Ach — w mojém życiu nie byłem tak szczęśliwy—a pani jesteś tak okrutna!«

»Odéjdź pan, niech cię Bóg prowadzi.«

»A więc, nigdy cię już nie obaczę?«

»Nigdy mój panie, nigdy na tym świecie.«

»Zakazawszy mi dopytywać się o ciebie, czyliż sama nie dasz mi żadnéj wiadomości o sobie?«

»Być może.«

»A więc podasz mi także sposoby, abym mógł pisać do ciebie?«

»Czyż ten natrętny z tąd nie odejdzie!« zawołała w gniewie, tupnąwszy piękną nóżką o podłogę.

»Ja czuję, iż będę panią kochać gorąco!«

»W tym razie będziesz znosił daremne męki.«

»Okrutna! proszę tylko, o jaki znak przyjaźni, o pamiątkę, którąbym mógł wziąć ź sobą.«

»Żadnéj pamiątki mój panie, żadnéj. Takżeto dotrzymujesz twoich przyrzeczeń? jesteś mi niepoluszny?«

»Bywaj więc zdrowa, rozłączam się z tobą pani, lecz pamiętaj, iż cię kocham! *Adieu!* nadziei widzenia ciebie, nigdy się nie zrzeknę!«

»Porzuć te myśli.«

»To niepodobna!«

Dama odwróciła się do służby i rzekła imponującym głosem, aby jéj rozkazy wypełniono.

Z westchnieniem skoczył de Guise do karéty, która się piorunem potoczyła. Na przodzie siedział jakiś ponury człowiek, byłto wczorajszy odźwierny.

»Łaskawy panie!« odezwał się do pana de Guise. »Przebacz mi, ale ja muszę wypełniać ostre rozkazy mojéj pani. Uchyl głowę od dźwirek i pozwól, abym zapuścił firanki.«

»Rób, co chcesz starcze, przyrzekłem dać się dziś męczyć, męczcież mnie jak owego niedźwiedzia w królewskiéj menażeryi, ale na Boga! wszelka przezorność nic wam nie pomoże. Cóż się stało z koniem Crequiego.«

»Niech się pan o to nie troszczy. Wyprowadziłem go ze stajni. Uderzyłem trzy razy dłonią po grzbiecie, puścił się sam jak strzała, i ręczę, iż już jest w domu u swego pana.«

»Czy myślisz, iż ja nie będę widział, którą bramą do Paryża wjedziemy?«

»My już więcéj jak do połowy objechali miasto i z innéj wjedziemy strony.«

»A jeźli wszystkie okolice Paryża zwidzę, czyliż nie poznam tego domu?«

»O, podobnych domów jest więcéj niż dwa tysiące, okolice miasta są bardzo rozległe.«

»A jeżeli w téj chwili z karéty wyjrzę, aby zobaczyć, gdzie jestem.«

»Nie radzę panu tego czynić«, odpowiedział stary sługa, dobywając pistoletu. »Inaczéj musiałbym panu w łeb wypalić.«

»A gdybym ja tobie dał sto talarów, abyś mi powiedział imię twéj pani.«

»Wtenczas jéj saméj doniósłbym o twoich chęciach, a ona zapłaciłaby mi w dwójnasób.«

»Lecz jeźli ja panu Crequi opowiém, co mi się przydarzyło.«

»Mój panie, wtenczas popełniłbyś czyn szkaradny, któryby tobie żadnéj korzyści nie przyniósł, a wiele nieszczęścia sprawił!«

»Dokąd mają zawieźć pana?« zapytał starzec, gdy przybyli do Paryża.

»Do hotelu de Guise.«

Przybywszy do swego mieszkania, nie myślał już o przygodzie; przewdział suknie, i nim się udał do Louvre, użył kąpieli. Wyszedłszy, spotkał właśnie Crequego w ulicy Saint-Honoire.

»Czyś nie raniony«, zapytał hrabia. »Wczoraj byłeś pijany. Koń mój okryty piana, sam wrócił. Zdaje mi się, iż téj nocy grałeś rolę wałęsającego się żyda.«

»O nie tak źle noc przepędziłem, jak mniemasz. —«

»Wiém o tém, taki przystojny rycérz znajdzie dosyć miejsc przytułku.«

»A ty podobnych miejsc nigdzieże nié masz?«

»O tylko jedno, lecz nie mienialbym się z tysiącem waszych.«

»Wtém jeszcze pytanie.«

Pan de Guise opowiadał bywało chętnie swoje miłosne przygody; tym razem związany daném słowem, musiał się jedynie szukaniem nieznajoméj zadowolnić, i czynił to między wszystkiémi kobiétami, które tylko gdzie ujrzał; lecz usiłowania jego były nadaremne, co go mocno martwiło. Postanowił wszystkich użyć sposobów dociec téj tajemnicy. Jednego dnia był u dworu w licznym gronie pięknych kobiét, gdzie było wiele blondynek; mógł się spodziéwać, iż jego nieznajoma jest między niémi. Natychmiast powziął myśl opowiedzićć damom ostatnią przygodę swoję, w nadziei, iż nieznajoma słysząc to, zdradzi się choć najmniejszém wzruszeniem. Wprawdzie sumienie i honor przywoływały mu w pamięć przysięgę jego, ale niepohamowana chęć poznania owéj damy, przygłuszyła wszelkie skrupuły. Nie wspominając pana Crequi, z lekka tylko dotknął epizody z koniem, lecz o tajemniczéj damie i owym domku, mówił bardzo obszérnie; wyliczał najmniejsze szczegóły, bacząc pilnie na najmniejszą zmianę w twarzach wszystkich słuchaczek. Przysięgał na Boga, że tę nieznajomą kocha szalenie i że nawet do piekła za nią pójść gotów, byleby ją tam mógł odszukać. Przygoda ta podobała się wszystkim, osobliwie zaś królowéj. Lecz żadna z dam nie zdawała się być dotknięta. Już de Guise zabiérał się do opuszczenia sali, gdy jakaś dama nachyla się do jego ucha i z cicha mu rzecze: »Jesteś niegodnym, podłym człowiekiem.« — I spokojnie się odwróciła, zacząwszy na nowo przerwaną z inną osobą rozmowę. — De Guise zadrżał z radości i podziwienia, ujrzawszy bardzo piękne, chociaż może za jasne włosy, jak śnieg białą szyję, wielkie, żywe oczy, cudną kibić i delikatną rączkę! Podług jego domysłu, nie mógłto być nikt inny, jak tylko owa nieznajoma. Odszukał ją w osobie panny Poulet, młodéj, modnéj damy, która u dworu uchodziła za zalotną. Mówiono nawet, iż miała jakieś związki z księciem, bratem bohatéra téj powieści. Pan de Guise ani pomyślał dawniéj, aby jéj nadskakiwać, lecz od téj chwili wydała mu się zachwycającą, dziwił się, iż na piérwszy rzut oka nie poznał w niéj nieznajoméj damy.

Panna Poulet opuściła Louvre, a zaledwie wsiadła do powozu, już de Guise na koniu jechał obok niéj, o co gniewała się bardzo, nie chcąc nawet odpowiadać na uprzejme zapytanie grzecznego rycerza. Gdy przybyła do hotelu prezesa Poulet, pan de Guise przy wysiadaniu podał jéj rękę. »Nie wiém«, mówiła w gniewie, »jak mogę przyjmować usługę natrętnego mężczyzny.«

»Czy ja panią czém obraziłem?« zapytał pokornie pan de Guise, »nikt nie wié, co się między nami wydarzyło. Pozwól pani, abym jéj towarzyszył, a przekonasz się, jak cię mocno kocham!«

»Pan nie możesz iść za mną, zakazuję panu; w téj chwili jestem zanadto rozgniewana.«

»A więc powiédz mi pani, kiedy mnie przyjąć raczysz?»

»Czyliż nie można pozbyć się pana?«

»Teraz byłobyto za trudno, wyjąwszy, iżbyś mi śmierć zadać chciala, lecz pani nie będziesz tak okrutną, i nie potępisz mię piérwéj, nim mnie wysłuchać raczysz. Chciéj mi wyznaczyć czas i miejsce.«

»Niech i tak będzie. Tego wieczora o dziesiątéj godzinie mój powóz zajedzie przed hotel pana i zawiezie go do owego małego domku, gdzie pan już raz byłeś. Znajdziesz pan we mnie surowego sędzię, bądź pan o tém przekonany.«

»Naprzód przyrzekam znieść cierpliwie wszelkie męki, jakiémi mnie pani ukarze — bo nic nie jest boleśniejszem dla mnie, jak rozłączenie się z tobą pani!«

»A więc tego wieczora.« —

Upojony radością przybył pan de Guise do swego hotelu; kazał przywołać balwierza — pootwiérał wszystkie pudełeczka z wonionkami, jak gdyby już godzina schadzki uderzyła. Nie wiedząc, jak spędzić czas do wieczora, wyszedł przejść się popod cienie drzew na dziedziniec hotelu. Byłoto blizko pół do piątéj; właśnie

hrabia Crequi po przed bramę hotelu przejéżdżał na karym koniu. — »De Guise! A cóżto ci się stało?« zawołał — »ziéwasz, jakby jaki prezydent uczony!«

»Na śmierć się nudzę. Ale dokądże ty, tak sam jeden jedziesz?«

»Dziś jém obiad za miastem.«

»Gdzież-to?«

»Nie wolno mi mówić.«

»Aha — zgaduję.«

»*Adieu* de Guise — muszę się spieszyć, abym się nie spóźnił.«

»*Adieu.*«

Pan de Guise stanął jakby piorunem rażony. Myśl, iż Crequi może zniszczyć jego słodką nadzieję, dotknęła go mocno. Szalone pomysły uwijały się po jego głowie. Chciał wszystko wyznać hrabiemu, a potém bić się z nim do upadłego. Jeden z nich miał koniecznie zginąć, bo téj myśli, iż sercem nieznajoméj mają się obadwa dzielić, ani mógł przypuścić. Zazdrość miotała jego duszą. Czas do wieczora wydał się mu wiekiem. Zmrokiem wyszedł na ulicę i niecierpliwie dosłuchywał się, czy ów upragniony powóz nie da się dosłyszéć. Ciemna mgła pokryła miasto. Wielu z latarkami mijało się przechodzących. Nareszcie z dala zatętniły kopyta, niebawem zwrócił się jakiś powóz w ulicę i stanął przed hotelem. Drzwiczki się otwarły — pan de Guise nie posiadał się z radości; wcisnął lokajowi kieskę złota, i uszczęśliwiony wskoczył do powozu. Długi czas jechał, nim powóz zatrzymał się na dziedzińcu, piaskiem wysypanym. Panna Poulet wyszła przyjąć gościa; jednakże wydało mu się, iż to nie był ten sam dziedziniec, który widział przy piérwszych odwidzinach.

»Dziś będę pana przyjmować w salonie«, mówiła, »gdyż tam odbywam sądy. — Oto jest miejsce dla obwinionego.« I wskazała na wygodne poręczowe krzesło, przy którym stał stół na dwie osób do wieczerzy nakryty.

»Oby mój proces potrwał jak najdłużéj«, odrzekł de Guise.

Tu przeszła pokojowa przez salon, ale nie byłato ta sama, którą piérwszym razem widział. I sługa, który zastawiał potrawy, nową był figurą. Pan de Guise był w dziwnym pomieszaniu. — »Czy był dzisiaj u pani na obiedzie?« rzekł do panny Poulet.

»O kim pan mówisz?«

»O tym, który się stanie przyczyną nieszczęścia mojego, jeżli go od pani nie oderwę.«

»Nie myślmy o tém.«

»Jeszcze jedno. Jakiego koloru był płaszcz, który dziś miał na sobie?«

»Prawdziwie, dziwnym pan jesteś! Z jaką namiętnością mówisz zawsze o tym człowieku. Nie przypominaj mi go pan i nie natrącaj sposobności wymówienia jego nazwiska.«

Miałażby go ona nic znać? pomyślał sobie de Guise. Możeto nawet nie jest moja nieznajoma!

Mimo niepewność, w któréj się znajdował, jednakowo przy tak pięknéj damie oddał się słodkiéj złudzie. Przypomniał sobie sposób, którym mógł niepewność swoje rozstrzygnąć. Na ramieniu owéj tajemniczéj damy, postrzegł był czarne znamię. Starał się teraz ten znak odkryć, a gdy go nie dostrzegł, był pewnym, iż go w pole wyprowadzono.

Włożył na palec panny Poulet kosztowny dyjament i opuścił dom z pośpiechem.

Od czasu tego *rendez-vous* upłynął miesiąc cały a pan de Guise ani się pokazał u dworu. Nie spodziéwając się znaleźć nieznajomą w dam gronie, tak zagrzązł między mieszczankami, iż ani pomyślał o Louvrze. Dopytywano się o przyczynę jego nieobecności. Bassompierre widział go włóczącego się po odległych ulicach miasta, twarz jego była wybladła, szpada owisła ku ziemi. Albo miłość mu odebrała rozum, albo był chory. W saméj istocie, młody i namiętny, oddał się zupełnie rozpaczy i tego dnia, którego Bassompierre go widział, musiał dla mocnéj gorączki położyć się do łóżka. Przypomniano sobie ową przygodę, którą opowiadał w obecności królowéj, mówiono wiele o tém, a słabość pana de Guise stała się przedmiotem rozmowy powszechnéj. Jego nieszczęścia przemówiły do serca czułych dam; kobiéty i mężczyźni zapisywali się u portiera w hotelu pana de Guise.

Gdy już dłuższy czas był chorym, otrzymał bilecik, który pokrzepił siły jego. W liście tym od tajemniczéj nieznajoméj stało:

»Jestże-to prawda, iż pan z miłości ku mnie »zachorowałeś? Jeźli w saméj istocie tak jest, to »bądź cierpliwym — małżonkowie są równie »śmiertelni jak i inni ludzie, a kochankowie się »przeniewierzają. W przeciągu trzech miesięcy »będziesz pan miał wiadomość o mnie.«

Słowa te uléczyły pana de Guise. Natchnęły go myślą, aby od pana Crequi jeszcze raz pożyczyć karéj klaczy, która, jak się spodziéwał, znowu go zaniesie, gdzie już raz nocne odbył odwidziny. Pan Crequi dogodził jego życzeniom, lecz cóż, kiedy klacz kapryśnica, nowego nabyła narowu. Pan jego miał teraz pilną sprawę w sądzie i bardzo często odwidzał adwokata. Przeto i pana de Guise tamże zaniósł koń kary, dokąd się teraz biegać przyzwyczaił. — Pan de Guise omal nie oszalał, gdyż coraz bardziéj był zakochany, im więcéj widział przeszkód; owładła go tęsknota, wybladł i spadł z ciała tak, iż go zaledwie poznać było można.

Lecz coraz więcéj jeszcze pogorszał się stan jego, gdy już ostatnie dnie owych trzech miesięcy mijały, a on nie miał żadnéj wiadomości. Nieustannie zbiegał na dziedziniec swego hotelu i zawsze dopytywał się portiera, czyli nié ma jakich wiadomości. Nim czwarty miesiąc minął, zachorował mocno a lékarze powątpiéwali o jego zdrowiu. Nieznajoma dama była tak okrutną, ani razu się nie zgłosić. Biédny de Guise myślał, iż umarła i przygotowywał suknie żałobne. Gdy się stan zdrowia jego polepszył, książę brat jego obawiając się, aby ten szał źle się nie zakończył, chciał go zabrać z sobą na prowincyję, lecz de Guise nie chciał na to przystać.

Jednego dnia, gdy już od poranku w ponurych myślach przechadzał się po nad rzéką, przyszedł w zadumaniu na miejsce, gdzie pan de Rosny, jenerał artyleryi nowo-ulane działa próbować kazał, i wszedłszy w koło oficerów, rzekł: »Założę się moi panowie, iż nikt z was nie odważy się wsiąść na działo, z którego po raz piérwszy wypalą.« — »Odwaga ta«, odpowiedziano mu, byłaby istotném szaleństwem.« — »A więc nie odważycie się na to, moi panowie.« — »Bez wątpienia, że nie.« — »A to ja was zawstydzę.« — »A ja«, odezwał się pan de Rosny, »nie pozwolę panu w tak niebezpieczny sposób ważyć życie swoję; cała odpowiedzialność spadłaby na mnie.« — »Oto ci panowie przyświadczą, iż ja sam tego chciałem; co się tyczy mego życia, mógłbym je panu w téj chwili oddać za rzecz marniejszą. Wszakże gdy Fontenai-Coup-d'Epée, wlazłszy na wysokie drzewo, kazał przepiłować pień pod sobą jedynie dla tego, aby doświadczył, czy padając karku nie złamie, nikt się nie sprzeciwiał jego rozrywce; proszę, niechże pan i mnie pozwoli téj zabawki.« — To rzekłszy, wskoczył na działo mocno nabite, z którego jeszcze nigdy nie strzélano, i nie słuchając przedstawień jenerała: »Ognia!« zawołał. Nikt nie usłuchał — »Ognia!« krzyknął po raz drugi; artylerzysta spuścił lunt, a działo wypaliło z tak straszliwym hukiem, że wszyscy obecni byli ogłuszeni! W téjże chwili ozwał się głos przeraźliwy: »Zginął!« armata pękła!

W saméj istocie tak się stało, a pan de Guise straszliwie pokaléczony, leżał na ziemi. Zaniesiono go do jego pomieszkania; żył on jeszcze, ale był już blizki skonu. Ku wieczorowi, gdy lékarze oświadczywszy, iż żadnego nié ma ratunku, opuścili umiérającego, zajechał przed hotel pana de Guise spaniały powóz, a jakaś dama wysiadłszy z niego, weszła do pokoju pana de Guise; twarz zalaną łzami schyliła na oblicze jego konający otworzył raz jeszcze oczy i rzekł z natężeniem: »Za późno!« — Skonał w objęciu owéj nieznajoméj damy. —

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 49. i obejmuje: 1) O potrzebie głębszéj orki. 2) Praktyczny rzut oka na niektóre gospodarstwa w obwodach zachodnich i południowych Galicyi (Ciąg dalszy). 3) O głównych zasadach chodowli owiec. 4) Wiadomości czasowe.

Jks. Jan Jarmusiewicz, proboszcz w Zaczernie, członek muzycznego towarzystwa we Lwowie, wydaje w Wiedniu teoryczno-praktyczne dzieło: *Nowy system muzyki, czyli nowa na nieznanych dotąd zasadach oparta teoryja melodyi, harmonii i kompozycyi muzycznéj*, w języku polskim z dołącznem obok tłumaczeniem niemieckiem.

Balon z pargaminu. Pewien mechanik w Filadelfii, rodem Szwajcar, wyczytał w pismach publicznych projekt Leinbergera z Norymbergii, i ogłosił zaraz publicznie, że cały ten zamysł jest urojeniem. W jedném z pism amerykańskich umieścił swe pomysły o żegludze napowietrznéj i wyrozumował matematycznie, że olbrzymi balon z metalu i z łódką z takiegoż samego materyjału, na żaden sposób w powietrzu utrzymać się nie może. Robi on obecnie podług tychże samych rozmiarów co Leinberger, sztuczny narząd do żeglugi napowietrznéj, a że u niego głównym materyjałem jest pargamin, przeto wielu mechaników tamtejszych utrzymuje, że mu ten zamysł się powiedzie. Czas okaże, azali ten nowy Dedal na swoich pargaminowych skrzydłach w powietrzu się utrzyma.

Ludność Rzymu. Pod względem ludności rzymskiéj stolicy — téj dawnéj władczyni świata, utrzymuje Dr. London w swojém niedawno wydaném dziele, że takowa w czasie największéj swéj świetności liczyła ośm milijonów mieszkańców. Przeciwnie zaś pan de la Malle i tegocześni akademicy francuzcy są tego zdania, że wewnątrz wałów rzeczonego miasta, nie było nigdy więcéj, jak 3 do 400,000 mieszkańca. Z tém zdaniem nie zgadzają się inni, w dawnych dziejach bardzo biegli i znakomici autorowie. I tak: Gibbon i Hume przypisują dawnemu Rzymowi najmniéj milijon ludności. Jacob w swojém dziele o *Szlachetnych metalach*, równie jak i Brottier sławny komentator Tacyta, podają takową na 1,200,000. Zmarły profesor Nibby utrzymuje w swojém dziele *Roma antica*, iż Rzym liczył dwa milijony mieszczan, cudzoziemców i niewolników. Chateaubriand podaje na trzy milijony; Justus, Lipsius i Mengotti na cztéry milijony; Izak Vossius udowodnił, iż Rzym mógł mieścić w sobie ośm a nawet czternaście milijonów ludności. Anglik Rolefinch, głęboki badacz dziejów, równie jak i kilku innych autorów są tego zdania, iż za piérwszych imperatorów rzymskich na siedmiu wzgórzach i na brzegach rzéki Tyber przeszło dwadzieścia siedm' milijonów ludzi mieszkało. Z tak wielu przeciwnych sobie zdań, zdaje się, iż najprawdziwsze jest zdanie doktora Loudon, który się na szesnastu różnych i zupełnie z sobą zgadzających się statystycznych datach z starożytnych klasyków opiéra, a podług którego Rzym miał mieć ośm milijonów mieszkańca. W roku 1377 za pontyfikatu Grzegorza XI. liczył Rzym nie więcéj jak 17 tysięcy ludności; obecnie wzmogła się takowa do 160 tysięcy. — Zresztą na dowód zmiennéj kolei narodów i państw, jestto rzeczą uwagi godną, iż gdy w czasie największéj świetności Rzymu, Albion był krajem Botany-Bay dla Rzymian, a mieszkańcy jego prowadzili koczujące życie, teraz na szczycie wzgórza Palatynu, wznosi się kolegijum angielskie, a większa część téj góry jest własnością Anglika Charles Mills.

Firman-Berat-Hatiszeryf. Podczas politycznych rozruchów, które się obecnie wydarzyły w Serbii, tłumaczono rozmaicie powyżej przytoczone tureckie słowa. Zamieszczamy tu objaśnienie: *Firman* w tureckim stylu urzędowym znaczy mandat czyli dekret nadworny; *Hatyszeryf* znaczy reskrypt cesarski, a *Berat* (czytaj biurat), jest dyplom, taki, jak nowo-mianowany serbski książę Aleksander Karagieorgiewicz otrzymał.

Handel pijawkami. W pewném miasteczku w Wielkiem księztwie Poznańskiém, skorzystano zeszłego roku bardzo wiele na téj na pozór mało znaczącéj gałęzi przemysłu. Dwóch ryczałtowych handlarzy, wypielęgnowało trzy milijony pijawek, których przeszło 2 milijony po większéj części do Hamburga

za 63,000 talarów sprzedano. Po odtrąceniu wszystkich wydatków i opłaty 129 dozorców, pozostało pomienionym ryczałtowym handlarzom czystego zysku 21,000 talarów.

Pocztylijon mechaniczny. Pewien fabrykant powozów w Paryżu, zrobił skorowóz pocztowy, który nietylko że jest lekki, mocny i wytworny, ale nawet najszczególniéj tém się odznacza, iż po każdéj mili bardzo piękną melodyję na trąbce pocztarskiéj przegrywa. Mechanizm ten zastępuje miejsce zegaru dla podróżnych, a prócz tego może pocztylijon kiedy mu się podoba, pocisnąć sprężynę, a natychmiast trąbka pocztarska, która ma dwanaście melodyj, grać zaczyna. Skorowóz ten będzie wzorem dla innych, jakoż na próbę odbyto już kilka takich przejazdek, z których podróżni bardzo zadowoleni byli.

Skamieniałość w ludzkiém ciele. Sztuka lékarska czyni ciągle dla dobra ludzkości ważne wynalazki. Józef Wattmann, c. k. radca rządowy, profesor praktycznéj chirurgii w uniwersytecie wiédeńskim, posiada znaczny zbior różnych skamieniałości, które się w ludzkiém ciele uformowały, i zwykle mniéj więcéj bolesną operacyją, to jest skruszeniem, rozerznięciem i t. d. z pacyjenta wydobyte zostały. Rzeczony lékarz położył w swym zawodzie liczne zasługi, i do usunięcia takich szkodliwych skamieniałości, zastosował metodę swego własnego wynalazku, która dla tego, że jest niezawodna i nie połączona z boleścią, powszechną uwagę na siebie zwraca. Metoda ta nie zależy na odstraszającéj chirurgicznéj operacyi, lecz na medycynie, którą podobnie jak wszelkie inne lékarstwo zażywać trzeba. Ingredyjencyje tego lékarstwa roztwarzają powoli skamieniałość i wyprowadzają takową bez wszelkiej boleści z ciała. Jak ważnym jest ten wynalazek, okazuje się z tąd, że takowe skamieniałości tamują częstokroć zupełnie funkcyje w ludzkiém ciele, a nawet o śmierć przyprawiają.

Niesłychaną karę za mniemane wykroczenie dziennikarskie wymierzono w Zurychu 1780 roku. Pierwsze, dokumentami stwierdzone skréślenie tego procesu, zamieszczone jest w drugim tomie dzieła: *Helwecyja*, które wyszło w Zurychu 1828; gdyż przedtém, prócz Vögeleina, zamilczeli o tém wszyscy autorowie, którzy dzieje Szwajcaryi pisali. Jan Henryk Wazer, opisał niektóre wady swego rodzinnego miasta i posłał rękopis Schlözerowi dla umieszczenia w jego piśmie peryjodyczném. Za to został gardłem ukarany; gdyż utrzymywano, że zdradził tajemnice państwa, o których lubo każdy w Zurychu wiedział, jednakże mogły one kraj na niebezpieczeństwo narazić. Ośmiu sędziów było przeciwnych, ale dwunastu głosowało na śmierć, a między tymi ostatnimi był nawet ón znany autor rzewnych sielanek, nudnéj pamięci Gessner. Gdyby w ten sposób karano teraz tych wszystkich, którzy uzasadnione lub pozorne wady swego miasta lub kraju w pismach peryjodycznych wytykają, takim traceniom nie byłoby końca.

Szanujcie lasy! Od lat pięćdziesiąt jak się coraz bardziéj zaczęło wzmagać pustoszenie lasów po górach; prądy powietrza ochłodziły klimat w Provence na wielu miejscach tak dalece, że teraz drzewa oliwne z każdym rokiem coraz bardziéj usychają, a gdzie niegdzie już nawet całkiem wyginęły. Artykuł zamieszczony w dzienniku *Moniteur industriel* z dnia 23go października 1842, narzéka bardzo na wyniszczenie lasów.

Aptéka świata. *Apothecary Hall* w Londynie dostarcza lékarstw dla wszystkich kolonij angielskich i dla wszystkich krajów, gdzie tylko angielskie okręty zarzucają kotwicę, a zatem dla wielkiej części świata. Zważywszy przytém, że pomiéniona apteka ma największe zaufanie w Londynie i w całém królestwie, że jest głównym i wzorowym instytutem tak stolicy jak i całego kraju, można z tąd powziąć jak wielki odbyt ma na swoje lékarstwa. W pracowni jéj, machiny parowe popędzają w ruch retorty, banie, moździerze, pańwie i t. p.

Bolesna zmiana obyczajów. Z Kalkuty donoszą pod dniem 12go sierpia następujący charakterystyczny rys lorda Ellenborough jeneralnego gubernatora w Indyjach. Gubernator ten wyznaczył pewny dzień na *Durbar*, to jest, na uroczyste przyjęcie najbogatszych i najznakomitszych Indyjan. Na taki *durbar* występują tamtejsi mieszkańcy z wielkim przepychem i prezentują przed gubernatorem znaczne sumy pieniężne. Obyczaj krajowy każe, aby jeneralny gubernator położył rękę na te skarby i zwrócił je właścicielowi. Obyczaj ten panuje już od wieków w Indyjach wschodnich, a Indyjanin, który w ten sposób królowi albo władcy składa swoje uszanowanie, jest przekonany, że sprezentowane skarby znowu z sobą zabierze. Jeneralny gubernator będąc zapewne nieprzyjacielem wszelkiéj ugrzecznionej obłudy, postanowił z żartu zrobić prawdę. Gdy więc Indyjanie na pokoje przybyli, i zaczęli mu na półmiskach prezentować rupie i klejnoty, gubernator zamiast dotknięcia się tylko, zagarnął je i odesłał do skarbu. Wyobrazić sobie można, jak mocno ta nowość przeraziła Indyjan! — Jedno z pism tamtejszych czyni uwagę, że jeźli pomieniony lord takie durbary po całych Indyjach wyprawiać zacznie, więc łatwo wschodnio-indyjską kompaniję z pieniężnego kłopotu wydobędzie.

Przestroga. W Londynie spaliła się niedawno niejaka lady Heathcote, któréj się przez nieostrożność suknie zajęły.

Przemyślny Anglik zwróciwszy uwagę na nadzwyczajną liczbę żebraków w swojém rodzinném mieście, postanowił z korzyścią użyć ich siły fizycznéj. W tym celu na dziedzińcu swojego domu kazał zbudować zagrodzenie, z którego na dziedziniec wystérczała korba, obracająca wewnątrz ukrytą maszyneryję, połączoną z młynem. Za 20-krotném obróceniem korby, wypadało na dziedziniec zawsze kilka groszy. Żebracy spostrzegłszy to nowe koło fortuny, zaczęli pilnie je obracać, aby uzyskiwać wypadające monety. Anglik robił tém doskonały interes, bo za małą opłatą miał swoją machinę ciągle w ruchu. Skoro jednak żebracy poznali, iż obracaniem korby wypełniają użyteczną robotę, wyrzekli się monet i przestali pracować.

Samochwalstwo. W jednem z pism zagranicznych skréślono bardzo trafnie życie ubogiego poety, który całkiem niewinną, domową przyjemność sobie sprawia. I tak, gdy się zbliża rocznica jego urodziu, uczy swe dzieci serdecznych powinszowań, które potém w dzień uroczystego festynu po kolei recytować sobie każe. Sam zaś udaje, jak gdyby o niczém nie wiedział, i ze łzami w oczach ściskając swych młodych gratulantów, dziękuje im za tę uprzejmą niespodziankę. To złudzenie samego siebie jest niewinne i przebaczyć je można, ale jakże w porównaniu śmiesznymi są ci, którzy po dziennikach sami sobie pochwały piszą!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.